

WIDNOKRĄG

10 (764)
6 marca 1984 r.
RZESZÓW

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Bronisław Dryja

Wyznanie

zabiłem
jaszczurkę pełzającą w lesie
trzcinię zagubioną w trawie
trudnego zajęcia
który przykucał w słońcu
i żurawia rozwieszającego jesień
oszczędziłem tylko samego siebie
proszę
sądzić mnie
tych zabójstw dokonać musiałem
gdybym tego nie uczynił
nie byłbym nawet liczbą ujemną
byłbym całkowitym zerem

Krystyna Świerczewska

PRZED MIĘDZYNARODOWYM DNIEM KOBIET

„ABYŚMY MAJĄC WSZYSTKO, NIE PRAGNĘLI JESZCZE”

Wańkowicz powiedział:
— Każda kobieta w małżeństwie podcina skrzydła mężczyźnie.

I potem napisał książkę „Królik i ocean”, najlepsze słowa, kierując pod adresem Królika, czyli żony.

Inni mężczyźni mówią:
— Kocham żonę, ale chciałbym mieć syna. Syn jest to dziecko upragnione dla mężczyzny, nie córka. Rodzi się raz ten, raz ta, bo na to już nie mają wpływu, a wiele z córek urodzonych w miejsce upragnionego syna, potem mówi:
— Bodaj to być mężczyzną!

I wiele z córek, które się urodziły w miejsce upragnionego syna, jest potem nieprzytomnie kochanych przez ojców.

Czyli nie jest nigdy wiadome w sferze uczuć, ale istnieje od wieków pewien stereotyp, że prawdziwą kontynuację rodu osiada się poprzez syna. Od urodzenia, ba, od poczęcia nawet, jest więc z nami źle, zajmujemy gorszą pozycję w świecie. Potem biorą się za nas poeci i malarze: jesteśmy tajemnicze femmes fatales, mamy dusze boginek, oczy gazeli, ręce madonn, włosy tytanowskie, krągłości rubensowskie, wyzwanie munchowskie.

Wtedy mamy ten jedyny okres w życiu zdecydowanie przewagi nad mężczyznami: robia ją, co tu dużo mówić, uroda, młodziutki seks, kobiecość gama cała. Wtedy też wybieramy mężczyzn, by później być już tylko na nich skazanymi.

Do połowy XIX wieku tylko w tych latach urodziny stanowiłyśmy pożywkę dla literatury; karmila się tymi paroma latami wyborów dziewczęcych, tylko ta miłośnica pierwsza, kończąca na zamkniętych drzwiach do alkoholu. Gdzieś tam, gdzie było jeszcze trochę, ale przez dziurkę od klucza i językiem nader oględnym albo wzniosłym. O rodzeniu dzieci już nie było, o rozwodach też nie — bo nie było rozwodów.

Trzeba było dopieć Balzaca, żeby otworzył sypialnię i poprzez kobietę przetrzebił stworzoną, czyli w wieku balzakowskim, zademonstrował dojrzałość uczuć, umiowanie uczuć, blaski i ciemności kobiecego małżeństwa.

Potem już poszło: madame Bovary jeździła, szalona, po zadeszczonym Lyonie w karetce z kochankiem, upadły anioł pojawił się wraz z Sónią u Dostojewskiego, Anna Karenina deptała konwenans, Jagusia kochała się z Antkiem w stogu siana, podpalonym ręką mściwego męża. Z tego stogu było już bardzo niedaleko do boyowskiego „Piekiła kobiet”, dewiacji, wynalazku: a genialny staruch Picasso wprawiał w rżnię świat konserwów cyklem ryneków o seksie, zaś film — pomocnik wielkiej sztuki — w miejsce boskiej Greta wyprosił dukował Barótkę, by potem zająć się adaptacją Nabokowa i wyranżerowanymi lozami podziurkować obraz trzynastoletniej Lolity. Czyli literatura zatoczyła kole od średniowiecza do południa wieku XX i donownie postawiła na młodzież, powab, seks, urodę jako najważniejsze wartości kobiecości.

Tymczasem życie nieprzerwanie przerażało produkt początkowy, owa femme fatale czy boginka, leśna, w produkt finalny, czyli stara kobieta, co wysiaduje. Kobieta, która wychowała ród ludzki, straciła urodę, siły w tym procesie, nie doczekawszy się często ludzkiego dzieku.

Różewicz kazał się jej kłaniać, zaprosił starym koniom, rżącym, teściową do stołu. Poeci zaczęli pisać o żyłkach, wypadaniu zębów i włosów, najnowszą prozą przyniosła „Balladę o Januszku”, gdzie wprost ze starofrancuskiej ballady o poniewieraniu serca matczynego zjawiał się ten syn — morderca związków krwi.

I jest tak: idą kobiety w dwuszeru paralelnym, jakby się rozmięły. W jedną stronę idą piękne, dorodne, zbuntowane dziewczyny, chcące budować życie inne, nie takie, co znaczy — nie takie jak twoje, matko — w drugim szeregu odchodzi z tego życia stare kobiety, pokonane, nikomu już nieróżne, wyeksploatowane, puste w środku, pokurczone. Mijają się te

dwa szeregi kobiet bez słów, bo słowa nie przylegają do sytuacji, ani do marzeń, ani do wieku.

Słowa zdradziły kobiety.

Kiedy im zawierzyła w dzieciństwie, że czeka ją wspaniała przyszłość.

Kiedy im zawierzyła w małżeństwie, że miłość będzie po grób.

Kiedy im zawierzyła w macierzyństwie, że jest najsukcesywnszą kobietą.

Gdzieś tam, poza zasięgiem naszego wzroku, ten dwuszer kobiet jednak się łączy. I tam właśnie następuje podmiana: co i raz któraś z młodych wypada z pochodu triumfalnego, by załatwić to swoje inne życie, inne obrachunki małżeńsko-macierzyńskie, a gdy po załatwieniu wraca, wkracza już w drugi szereg.

Mówimy wtedy: życie się toczy nieubłagane.

Albo: życie ma swoje nieodmienne prawa.

Mówimy to albo zbuntowane, albo zrezygnowane. Między jednym a drugim stanem emocji umieszczając całą sferę niepokoju i przeczuć, sukcesów i klęsk.

Może to właśnie jest sens życia, że w młodości nie dopuszczamy myśli, że i nam zdarzy się starość? A w starości patrzymy z pobłażaniem na tę młodość, która wylecieć chce nad poziom?

Zaś pomiędzy młodością i starością po prostu wypełniamy obowiązki i radujemy się małymi przyjemnościami.

„Trzeba mieć coś ważnego w życiu, aby nieważne rzeczy cieszyły” — powiedział profesor Tatariewicz. I zaraz potem przekazał zakazy dla szczęśliwych, a między innymi i ten:

„Kto chce szczęścia, niech ogranicza potrzeby”.

Bo — jak zrekapitulował Renan:

„Człowiek potrzebuje wielu rzeczy, ale może żyć z byle czym”.

A poeta Lechów przestrzegł:

„Abyśmy mając wszystko, nie pragnęli jeszcze”.

Kiedy mamy męża i dzieci, nie chcemy dla męża wysokiego orderu, a dla dzieci genialnej przyszłości. Cieszymy się, że są w ogóle. Nasi. Tacy jacy są. Tu i dziś. W tej godzinie.

Gdy odejda dzieci, cieszymy się, że doprowadziliśmy je do tego momentu, kiedy umiemy być samodzielne i stoją bez trzymania za rękę.

A jeśli zostaniemy same? Co wtedy? Otwórzmy książkę Tatariewicza „O szczęściu” i przeczytajmy nakaz dla szczęśliwych:

„Sama osiągalność szczęścia jest względna. Jedni mają dyspozycję do szczęścia i będą szczęśliwi, choćby los im szeregów nie nie sprzyjał; inni nawet w najlepszych warunkach będą nieszczęśliwi. Bo, aby czuć się szczęśliwym, trzeba nie tylko mieć się z czego cieszyć, ale także — umieć się cieszyć, a zdolność ta nierówno jest między ludźmi podzielona”.

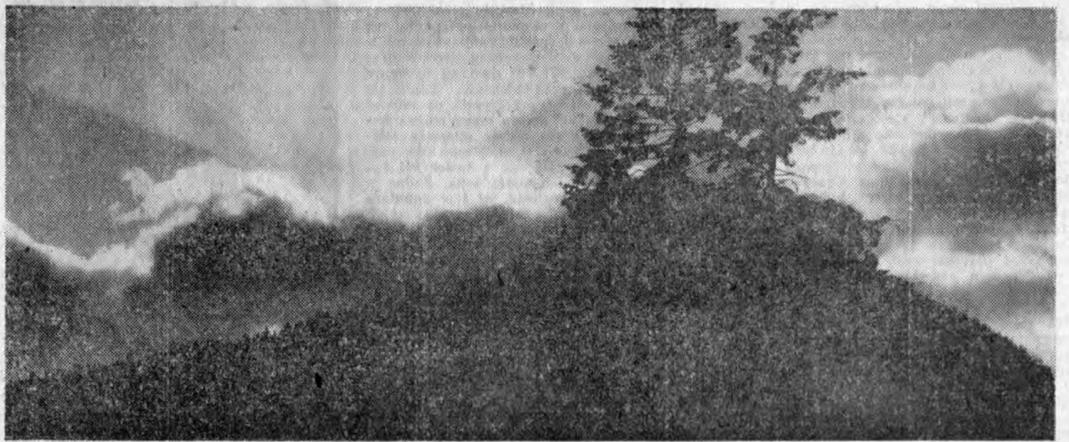
Czy w ogóle jest coś na tym świecie, co między ludźmi jest równo podzielone? Nie tylko między kobietą a mężczyzną — tu jest chyba ciągle najbardziej nierówno — ale między kobietą a kobietą, skoro jedna od drugiej w sferze psychiki dzieli ocean?

Więc może lepiej jednak nie narzekać na los kobiet, ale snując rozważania o szczęściu dalej, czekać cierpliwie, kiedy dla nas nadejdzie?

Bo:

„O szczęście nie ma co się starać — przyjdzie samo albo nie przyjdzie; jest rodzajem równowagi jak jazda na rowerze; tysiąc razy usiłuje ją utrzymać boleśnie, a bezskutecznie, aż kiedyś pewnego razu osiągnie się ją bez żadnego wysiłku”.

Niech więc szczęście przyjdzie do Was samo — oto moje życzenie dla kobiet, złożone dziś jednak z przypomnieniem, że stan ten jest rodzajem równowagi..



Fot. J. KOTWICA

TESTAMENTOWY ZAPIS JANA MARI GIGGESA DLA NISKA

17 grudnia ub roku zmarł Jan Maria Giges — znany prozaik i poeta, wiceprezes Zarządu Głównego ZLP. Urodził się w Nisku 15 stycznia 1914 roku. Z rodzinnymi stronami utrzymywał przetrwane kontakty, powracał do nich w swojej twórczości, w swoich wierszach. Wdawał między innymi trilogie „Lasowiaci”.

W jednym z ostatnich wywiadów, udzielonym „Argumentom” (nr 49 z 4.12.1983 r.) Jan Maria Giges stwierdził: „Nie wrośłem w życie intelektualne Warszawy. Mieszkając tyle lat w stolicy, nie napisałem o niej książki. Jeśli pani weźmie moje książki, to orzekano się pani, że są one związane z terenem mojego dzieciństwa i młodości. Jeździłem w te strony bardzo często i wracam do nich w wyobraźni. Nawet gdy byłem sekretarzem Związku, wleceł dni w roku przebywałem w terenie niż w Warszawie.

Wynikało to z mojej natury człowieka ruchliwego..”

A oto co w rozmowie w miniona sobotę, 24 lutego, powiedziała nam wdowa do pisarza pani Anna Gigesowa:

„Mąż kochał swoje Nisko, cenil sobie bardzo związek z ludźmi z rodzinnych stron. Zmarł nagle, ale o Nisku nie zapominał. Jeszcze w 1971 roku, 14 stycznia, a więc tuż przed urodzinami, sporządził zapis testamentowy. Chciałabym skrzętnie wzmnieć te ostatnie wole nieodwołanego małżonka. Otóż według tego zapisu wszystkie książki znajdujące się w prywatnej bibliotece a dedykowane mu ofiaruje dla nizańskiej biblioteki. Także wszystkie encyklopedie oraz pojedne ze swoich książek w sumie jest to księgozbiór złożony z około tysiąca pozycji. Poza tym jest jeszcze szereg teczek z wycinkami dotyczącymi jego pracy. Życzył sobie, aby również do

Niska trafiły wszystkie jego odznaczenia wraz z legitymacjami i dziećmi rodzinne. Przewoźne, że dziadek Jan Giges był sekretarzem starostwa w Nisku, do przyjeździe z Svbtru, gdzie zesłany został za udział w powstaniu styczniowym. Spooczywa on na racławickim cmentarzu. W testamentie jest także zapis: Tworzyć orzekania biblioteczne, malego muzeum etnograficznego. Wtem jednak że w tutejszej bibliotece nie ma warunków na zeromadzenie księgozbioru i pomiatek osobistych meza. Może więc wszystko to trafi do tutejszego muzeum Towarzystwa Miłośników Ziemi Nizańskiej? Czekam na propozycje, na wiadomości z Niska. Przed kilkoma dniami wysłałam list do biblioteki publicznej w Nisku informując o testamentowym zapisie meza. Wcześniej nie miałam sil odesłać biblioteczki człowieka jest bolesnym przeżyciem.” (so)

Halina Łokajowa

Spór o „Atlasówkę” wciąż trwa

SPOŁECZNY PUNKT WIDZENIA

Stojmy w obszernym pokoju na parterze starej białej kamienicy — w rynku Dookoła panuje okropny bałagan i nieprzyjemny zapach. Na żelaznych łóżkach stłoczono posieci i odzież. Duży przykryty czarna stół: jakies porozrzucone drobniaki brudne kubki, nie dojeżdżona bułka... Wszystko — razem ze skromnym umeblowaniem, sprawia przygnębiające wrażenie ubóstwa.

— Jeszcze nie sprzątałimy — objaśnia Stanisława Lech z UMG, która służbowo zajmuje się sprawami opieki społecznej. — Pomieszczenie wygląda tak, jak w ostatnim dniu życia lokatorów.

10 stycznia br. siostra PCK, która tak od dzieci obsługiwała swoje trzy podolne czyste, zastała dwie martwe, a trzecia nieprzytomna. Zostali zezadżone spalaniem gazu z piecyka ogrzewczego. Odpowiadającą czad rura była wciągnięta z otworu wentylacyjnego, prawdopodobnie przez nieumie. Można przypuszczać, że tragiczny los wspaniałego Katarzyna D., która doznała do siebie w szpitalu, pomógł w zdobyciu dla niej miejsca w domu opieki w Debobowcu. Deficyt tych miejsc pogłębia się niestety coraz bardziej.

Mieszkały razem z konieczności. Wszystkie były bezdomne Emilie S., przewodniczący oddziału PKPS w Bieczu Tadeusz Pzvik, wyciągnął z ołwicy w Bugaju; zanim zwolnił się pokój w rynku zakwaterowano ją na jakiś czas w hotelu na koszt UMG. Chałupa Józefa R., która kilkanaście lat temu oddała pole za rentę zawałiła się przed czasem. Katarzyna D. tułała się już od dawna. Spala to tu, to tam, przysparzając z litości.

Spędził w tym wspólnym, otrzymanym z kwatunku, pokoju kilka miesięcy. Złe było im razem. Nie lubili się, wadziły często. Podobno nawet dochodziło między nimi do rekocznów. Nikt do nich nie pisał. Smutny los starych, samotnych ludzi.

* * *

Wkrótce pokój w rynku zostanie uprzątnięty i odmalowany, mieszkańcy miasta zapomną o tragicznym styczniowym epizodzie. Problem jednak pozostanie nie rozwiązany. Ujawni się pod nowym imieniem i nazwiskiem. Nie tak dawno Pzvik organizował pogrzeb staruszki, która zamarzyła.

Cóż jednak może społecznik poza ofertą pomocy finansowej, która dysponuje organizacją. Nie pieniądze wszak są tu istotne, ale szeroko pojęta opieka. Cóż może poza kolataniami, przypominaniem w urzędzie. O trzech mieszkankach w rynku też mówił nie

raz, że trzeba coś zrobić, bo to nie są bezduszne warunki dla ludzi niedolnych, z zaawansowaną sklerozą. Milicjant Janik dwukrotnie zakręcał tam otwarty kurek z gazem, bo staruszki zanominaly. Ostatni raz P. Tadeusz był w tej sprawie w Urzędzie Miasta i Gminy w przeddzień wypadku. — No i wykrakał pan, powiedział mi potem ktoś pół żartem, pół serio. Watniwa to jednak satysfakcja.

* * *

Starość nigdy nie jest przyjemna. Każda jednak, również ta zgrzybiata i gorzka, z niesprawną pamięcią, powinna być godna. To minimum komfortu oranie zapewnić swoim podopiecznym. Pzvik Już 10 lat bez mała zabrał o zorganizowanie w Bieczu domu spokojnej starości na kilka czy kilkanaście miejsc. Pomysł na pewno nie jest chybiony. Taki właśnie dom na 12 miejsc, urządzony w starej willi, od roku funkcjonuje w Zo-

luni w woj. rzeszowskim. Wszystkie miejsca są wykorzystane. Mieszkańcy w większości pochodzą z pobliskiej okolicy. Co tu dużo mówić, dziś w każdej gminie przydałby się taki dom opieki.

Jeszcze 10 lat temu sprawa wydawała się bardzo prosta. Biecki PKPS stał się bowiem niespodziewanie ledwym oretendentem do atrakcyjnego smadku — obszernego domu razem z dużym 70-arowym ogrodem. Ogród co prawda przeznaczony został skarbowi państwa, ale nikt nie wodził że pensjonariusze mogliby z niego swobodnie korzystać. P. Tadeusz już widział oczyma wyobraźni ogród, w nim laweczki grządek, których uprawa dostarczałaby codziennych małych radości staruszkom.

Był jednak — przynajmniej — naiwny sądząc, że z osobistymi przekonaniem i odczuciami, że sprawiedliwość jest wprost i obiektywna. Do dziś bowiem o prawo własności domu walczą mieszkańcy tam loka-

(CIĄG DALSZY NA STR. 2)



„Atlasówka”, gdy w nią zażywestować, przetrwa niejedną burzę.

Fot. J. KOTWICA

PÓŁ WIEKU TWÓRCZOŚCI MIROŚŁAWA ŻUŁAWSKIEGO

— W informatorze „Polscy pisarze współczesni” Lesława Bartelskiego jest błąd, dotyczący Pańskiego debiutu. Debiutował Pan, jako poeta, parę lat wcześniej...
— Są też i inne drobne nieścisłości.
— Jakże?

— Na przykład podano, że byłem ambasadorem PRL w Mali, a faktycznie byłem w tym kraju akredytowany. Jednocześnie miałem akredytację także na Gambię i Górną Woltę. Natomiast nasza ambasada znajdowała się w Senegal, w Dakarze i tutaj faktycznie byłem ambasadorem przez lat cztery. Wystarczająco długo, aby poznać kawałek życia czarnej, zachodniej Afryki.

— Co później znowowowało w znakomitej książce „Teleczka z Afryki”, wydanej przed rokiem, której nie sposób oczywiście teraz kupić.

— Wróćmy do Pańskiego debiutu, przypadającego równo pół wieku temu.

— Ustaliliśmy na podstawie spisu treści lwowskich „Sygnałów” za rok 1934, że widnie w nim moje nazwisko.

— Kiedy zatem będzie Pan fetował złoty jubileusz?

— Z tym jubileuszem, to tak jak i z niższym domem mojego dzieciństwa... Wprawdzie przed półwieciem figuruje wśród autorów znanego zresztą przed wojną miesięcznika „Sygnały”, ale najpewniej pierwsze wiersze wydrukowano mi już rok wcześniej. Mając tak 20, 21 lat i będąc studentem dwóch fakultetów — prawa i dyplomacji Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, jak wielu młodych ludzi zacząłem układać wiersze. W tym wieku człowiek ma duszę szczególnie rozpoetywowaną. Karol Kurtyluk uznał, że te moje wiersze mają wartość i pasował mnie na poe.

— Dlaczego przestał Pan pisać wiersze?
— Z poezją rozstałem się w latach wojny. Ostatni swój wiersz wydrukowałem w 1943 roku, w zbiorze podziemnym, który szczególnie zbliżenie okoliczności przetrwał cała wojenna zawierucha. Tytuł tego mojego późniejszego z poezją utwór — „Gorzką wiersz”. Zdałem sobie sprawę, że już nie potrafię wyrażać się wierszem.

— „Sygnały” były miesięcznikiem lewicowym, zbiorak jest wydany przez AK. Był Pan żołnierzem Armii Krajowej. Czy nie ma w tym jakiejś sprzeczności?

— W służbie zagranicznej spędziłem 30 lat życia. Dyplomacja to jest działalność taka — „moyłkowata”. Skacze się z „kwiatu” na „kwiatu”. Tu uśmiech, tam pirotek. Bywa, że najpoważniejsze sprawy gospodarcze, polityczne załatwia się w sposób niepoważny. Natomiast twórczość literacka wymaga koncentracji, ułożenia się na miesiąc, a w moim przypadku na lata z bohaterami, problemami. Niełatwo było działalność dyplomatyczną przeskądzić mi w pisanie, ale też dala mi ogromny zasób życiowego doświadczenia. Czyli nie ma nic złego, co by nie wyszło na dobre?

— W „Przekroju” swego czasu można było przeczytać: „Przez długie miesiące telewizji wyświetał...”. „Opowieści mojej żony”, w którym jedna z dwóch ról zagrała Zofia Kucówna. Żadna z innych ról nie przyniosła jej tej popularności”. Splendor za serial telewizyjny spadł na Adama Hanuszkiewicza.

— Tak to jest, że w przypadku udanych adaptacji owoc zbiera reżyser. Dobra rzecz zrobił pan Adam. Zawsze, gdy go widzę, albo panią Zofię — pytają mnie o ciąg dalszy „Opowieści mojej żony”. Nie wiem jeszcze czy kiedyś się nie skruszę?

— Czy jeszcze ktoś z Pańskich książek doczekał się adaptacji?
— Na duży ekran Wanda Jakubowska w okresie socrealizmu przeniosła „Opowieści atlantyckie”. Był to jednak słaby film.

— Niektóre Pańskie książki są wznwiane kilkakrotnie. Ukazały się trzy wydania „Rzeki Czerwonej”, za którą Pan w swoim czasie otrzymał nagrodę państwową. Było kilka wydań opowiadań „Pisa gwiazda” oraz zbioru „Pisane noce”. Czy ktoś z wydawnictw przetwarza obecnie wznawienie Pańskiej książki?

— Nie wiem, nie zabiegam o wznawienie. Uważam, że książka powinna bronić się sama. Wszystkie dotychczasowe wznawienia ukazywały się z inicjatywą wydawcy.

— Ta książka, nad którą Pan obecnie pracuje, będzie którym Pańskim tytułem?
— Bodaż dziesiątym.

— W literaturze znani są także Żuławszy o innych imionach. Jest Pan z nimi spokrewniony?
— Jerzy Żuławski, przedstawiciel „Młodej Polski”, autor głośnej trylogii „Na srebrnym globie” był bratem mojego ojca. Natomiast literat Juliusz Żuławski jest moim stryjczym bratem. Zygmunta Żuławszczyńskiego zapisał się jako działacz społeczny. WEP wymienia dziesięciu Żuławskich.

— Jak to się stało, że jeden z nich zamieszkał w Nisku?
— Ojciec mój był prawnikiem, pracował jako urzędnik państwowy m. in. kilka lat w Nisku, gdzie się urodził w 1913 roku. Później skierowany został na Śląsk, do organizowania polskiej administracji, bodaj w roku 1919. I nasza rodzina opuściła gościnnie Nisko. Ojciec później podpadł zwierzchnikom za swoje przekonania polityczne, był jednym z najmłodszych emerytów w okresie międzywojennym. Nie chcąc siedzieć w domu bezczynnie działam m. in. w Samorządzie Powiatowym w Turce nad Strzemiem, gdzie był nasz rodzinny dom do wojny.

— Wspomniał Pan o trudnościach z ustaleniem domu urodzenia...
— Czuję się nawet „kaleką” z tego powodu. Po latach nie mogłem odnaleźć w Nisku domu, w którym przyszedłem na świat. Ojczyzna, napisał Witkacy, to pejzaż zapamiętany z okna dziecięcego pokoju. Ja pamiętam park, z okna widać było budynek starostwa, w którym ojciec pracował. Ale okna nie odnalazłem, pewnie ten długi, niewysoki budynek został wyburzony, nie dotrwał naszych czasów.

— Prosił Pan przed miesiącem, aby w Pańskim imieniu pokłonił się rodzinnemu Nisku. Wysłałem z Niska do Pana widokówkę. Na górnym zdjęciu jest 5-kondygnacyjny blok, przy placu gen. K. Świerczewskiego. Tu gdzieś zapewne stał ów Pański dom?

— Prawdopodobnie.

— Opodal, o kilkadziesiąt metrów, stoi budynek, w którym rok później, również w połowie stycznia urodził się Jan Maria Giggés. Jako dzieci byliście sąsiadami...
— „a przyjaciółmi” zawsze. Przy każdym spotkaniu mówił o Nisku, był w swoim Nisku zakochany. Ale on dłużej tutaj mieszkał.

— W służbie zagranicznej spędziłem 30 lat życia. Dyplomacja to jest działalność taka — „moyłkowata”. Skacze się z „kwiatu” na „kwiatu”. Tu uśmiech, tam pirotek. Bywa, że najpoważniejsze sprawy gospodarcze, polityczne załatwia się w sposób niepoważny. Natomiast twórczość literacka wymaga koncentracji, ułożenia się na miesiąc, a w moim przypadku na lata z bohaterami, problemami. Niełatwo było działalność dyplomatyczną przeskądzić mi w pisanie, ale też dala mi ogromny zasób życiowego doświadczenia. Czyli nie ma nic złego, co by nie wyszło na dobre?

— W „Przekroju” swego czasu można było przeczytać: „Przez długie miesiące telewizji wyświetał...”. „Opowieści mojej żony”, w którym jedna z dwóch ról zagrała Zofia Kucówna. Żadna z innych ról nie przyniosła jej tej popularności”. Splendor za serial telewizyjny spadł na Adama Hanuszkiewicza.

— Tak to jest, że w przypadku udanych adaptacji owoc zbiera reżyser. Dobra rzecz zrobił pan Adam. Zawsze, gdy go widzę, albo panią Zofię — pytają mnie o ciąg dalszy „Opowieści mojej żony”. Nie wiem jeszcze czy kiedyś się nie skruszę?

— Czy jeszcze ktoś z Pańskich książek doczekał się adaptacji?
— Na duży ekran Wanda Jakubowska w okresie socrealizmu przeniosła „Opowieści atlantyckie”. Był to jednak słaby film.

— Niektóre Pańskie książki są wznwiane kilkakrotnie. Ukazały się trzy wydania „Rzeki Czerwonej”, za którą Pan w swoim czasie otrzymał nagrodę państwową. Było kilka wydań opowiadań „Pisa gwiazda” oraz zbioru „Pisane noce”. Czy ktoś z wydawnictw przetwarza obecnie wznawienie Pańskiej książki?

— Nie wiem, nie zabiegam o wznawienie. Uważam, że książka powinna bronić się sama. Wszystkie dotychczasowe wznawienia ukazywały się z inicjatywą wydawcy.

— Ta książka, nad którą Pan obecnie pracuje, będzie którym Pańskim tytułem?
— Bodaż dziesiątym.

— W literaturze znani są także Żuławszy o innych imionach. Jest Pan z nimi spokrewniony?
— Jerzy Żuławski, przedstawiciel „Młodej Polski”, autor głośnej trylogii „Na srebrnym globie” był bratem mojego ojca. Natomiast literat Juliusz Żuławski jest moim stryjczym bratem. Zygmunta Żuławszczyńskiego zapisał się jako działacz społeczny. WEP wymienia dziesięciu Żuławskich.

— Jak to się stało, że jeden z nich zamieszkał w Nisku?
— Ojciec mój był prawnikiem, pracował jako urzędnik państwowy m. in. kilka lat w Nisku, gdzie się urodził w 1913 roku. Później skierowany został na Śląsk, do organizowania polskiej administracji, bodaj w roku 1919. I nasza rodzina opuściła gościnnie Nisko. Ojciec później podpadł zwierzchnikom za swoje przekonania polityczne, był jednym z najmłodszych emerytów w okresie międzywojennym. Nie chcąc siedzieć w domu bezczynnie działam m. in. w Samorządzie Powiatowym w Turce nad Strzemiem, gdzie był nasz rodzinny dom do wojny.

— Wspomniał Pan o trudnościach z ustaleniem domu urodzenia...
— Czuję się nawet „kaleką” z tego powodu. Po latach nie mogłem odnaleźć w Nisku domu, w którym przyszedłem na świat. Ojczyzna, napisał Witkacy, to pejzaż zapamiętany z okna dziecięcego pokoju. Ja pamiętam park, z okna widać było budynek starostwa, w którym ojciec pracował. Ale okna nie odnalazłem, pewnie ten długi, niewysoki budynek został wyburzony, nie dotrwał naszych czasów.

— Prosił Pan przed miesiącem, aby w Pańskim imieniu pokłonił się rodzinnemu Nisku. Wysłałem z Niska do Pana widokówkę. Na górnym zdjęciu jest 5-kondygnacyjny blok, przy placu gen. K. Świerczewskiego. Tu gdzieś zapewne stał ów Pański dom?

— Prawdopodobnie.

— Opodal, o kilkadziesiąt metrów, stoi budynek, w którym rok później, również w połowie stycznia urodził się Jan Maria Giggés. Jako dzieci byliście sąsiadami...
— „a przyjaciółmi” zawsze. Przy każdym spotkaniu mówił o Nisku, był w swoim Nisku zakochany. Ale on dłużej tutaj mieszkał.

— W służbie zagranicznej spędziłem 30 lat życia. Dyplomacja to jest działalność taka — „moyłkowata”. Skacze się z „kwiatu” na „kwiatu”. Tu uśmiech, tam pirotek. Bywa, że najpoważniejsze sprawy gospodarcze, polityczne załatwia się w sposób niepoważny. Natomiast twórczość literacka wymaga koncentracji, ułożenia się na miesiąc, a w moim przypadku na lata z bohaterami, problemami. Niełatwo było działalność dyplomatyczną przeskądzić mi w pisanie, ale też dala mi ogromny zasób życiowego doświadczenia. Czyli nie ma nic złego, co by nie wyszło na dobre?

— W „Przekroju” swego czasu można było przeczytać: „Przez długie miesiące telewizji wyświetał...”. „Opowieści mojej żony”, w którym jedna z dwóch ról zagrała Zofia Kucówna. Żadna z innych ról nie przyniosła jej tej popularności”. Splendor za serial telewizyjny spadł na Adama Hanuszkiewicza.

— Tak to jest, że w przypadku udanych adaptacji owoc zbiera reżyser. Dobra rzecz zrobił pan Adam. Zawsze, gdy go widzę, albo panią Zofię — pytają mnie o ciąg dalszy „Opowieści mojej żony”. Nie wiem jeszcze czy kiedyś się nie skruszę?

— Czy jeszcze ktoś z Pańskich książek doczekał się adaptacji?
— Na duży ekran Wanda Jakubowska w okresie socrealizmu przeniosła „Opowieści atlantyckie”. Był to jednak słaby film.

— Niektóre Pańskie książki są wznwiane kilkakrotnie. Ukazały się trzy wydania „Rzeki Czerwonej”, za którą Pan w swoim czasie otrzymał nagrodę państwową. Było kilka wydań opowiadań „Pisa gwiazda” oraz zbioru „Pisane noce”. Czy ktoś z wydawnictw przetwarza obecnie wznawienie Pańskiej książki?

— Nie wiem, nie zabiegam o wznawienie. Uważam, że książka powinna bronić się sama. Wszystkie dotychczasowe wznawienia ukazywały się z inicjatywą wydawcy.

— Ta książka, nad którą Pan obecnie pracuje, będzie którym Pańskim tytułem?
— Bodaż dziesiątym.

— W literaturze znani są także Żuławszy o innych imionach. Jest Pan z nimi spokrewniony?
— Jerzy Żuławski, przedstawiciel „Młodej Polski”, autor głośnej trylogii „Na srebrnym globie” był bratem mojego ojca. Natomiast literat Juliusz Żuławski jest moim stryjczym bratem. Zygmunta Żuławszczyńskiego zapisał się jako działacz społeczny. WEP wymienia dziesięciu Żuławskich.

— Jak to się stało, że jeden z nich zamieszkał w Nisku?
— Ojciec mój był prawnikiem, pracował jako urzędnik państwowy m. in. kilka lat w Nisku, gdzie się urodził w 1913 roku. Później skierowany został na Śląsk, do organizowania polskiej administracji, bodaj w roku 1919. I nasza rodzina opuściła gościnnie Nisko. Ojciec później podpadł zwierzchnikom za swoje przekonania polityczne, był jednym z najmłodszych emerytów w okresie międzywojennym. Nie chcąc siedzieć w domu bezczynnie działam m. in. w Samorządzie Powiatowym w Turce nad Strzemiem, gdzie był nasz rodzinny dom do wojny.

— Wspomniał Pan o trudnościach z ustaleniem domu urodzenia...
— Czuję się nawet „kaleką” z tego powodu. Po latach nie mogłem odnaleźć w Nisku domu, w którym przyszedłem na świat. Ojczyzna, napisał Witkacy, to pejzaż zapamiętany z okna dziecięcego pokoju. Ja pamiętam park, z okna widać było budynek starostwa, w którym ojciec pracował. Ale okna nie odnalazłem, pewnie ten długi, niewysoki budynek został wyburzony, nie dotrwał naszych czasów.

— Prosił Pan przed miesiącem, aby w Pańskim imieniu pokłonił się rodzinnemu Nisku. Wysłałem z Niska do Pana widokówkę. Na górnym zdjęciu jest 5-kondygnacyjny blok, przy placu gen. K. Świerczewskiego. Tu gdzieś zapewne stał ów Pański dom?

— Prawdopodobnie.

— Opodal, o kilkadziesiąt metrów, stoi budynek, w którym rok później, również w połowie stycznia urodził się Jan Maria Giggés. Jako dzieci byliście sąsiadami...
— „a przyjaciółmi” zawsze. Przy każdym spotkaniu mówił o Nisku, był w swoim Nisku zakochany. Ale on dłużej tutaj mieszkał.

— W służbie zagranicznej spędziłem 30 lat życia. Dyplomacja to jest działalność taka — „moyłkowata”. Skacze się z „kwiatu” na „kwiatu”. Tu uśmiech, tam pirotek. Bywa, że najpoważniejsze sprawy gospodarcze, polityczne załatwia się w sposób niepoważny. Natomiast twórczość literacka wymaga koncentracji, ułożenia się na miesiąc, a w moim przypadku na lata z bohaterami, problemami. Niełatwo było działalność dyplomatyczną przeskądzić mi w pisanie, ale też dala mi ogromny zasób życiowego doświadczenia. Czyli nie ma nic złego, co by nie wyszło na dobre?

— W „Przekroju” swego czasu można było przeczytać: „Przez długie miesiące telewizji wyświetał...”. „Opowieści mojej żony”, w którym jedna z dwóch ról zagrała Zofia Kucówna. Żadna z innych ról nie przyniosła jej tej popularności”. Splendor za serial telewizyjny spadł na Adama Hanuszkiewicza.

Koło godz. 18 zaczynają schodzić się do klubu. Jeśli jest ciekawy program telewizyjny, gromadzą się przed kolorowym telewizorem. Jeśli nie, nie narzekają. Wybierają gry: bilard, tenis stołowy, wymyślają sobie zabawy albo tylko rozmawiają. Rojno jest, gwaro i wesoło, śmiech słychać aż na zewnątrz. I tak jest codziennie, z wyjątkiem poniedziałków, kiedy klub jest zamknięty. Czasem ten śmiech wzbudza nieprzychylnie zainteresowanie innych (oni mówią: starszych), bo, coż się dzieje, że tam tak wesoło? A oni zadowoleni są z tego, że mają ten klub, jedyną miejscę, gdzie po zajęciach w szkole i po pracy mogą się spotkać.

Klub Rolnika w Borku Starym otworzono kilkanaście lat temu. Mieści się w budynku Domu Ludowego. Teoretycznie dysponuje jedną salą, w niej bufet, stoliki, radio, telewizor i t. p. Jest niereklamowy. W zeszłym roku Gminna Spółdzielnia w Tyczynie...

posaziły. Nagrodę otrzymaną w 1979 roku przeznaczali na kupno telewizora kolorowego. To co zabrakło, dodali tyżczyński GS i WZSR. Do ogrzewania największej sali kupili dmuchawę szklarniową. W tej właśnie sali prowadzone są różne gry, a uczniowie mogą się przygotowywać do turnieju tenisa stołowego. Jesienią zajęli się podwórkiem wokół budynku. Chcą je wyasfaltować, więc młodzież zdjęła piwki chodnikowe, aby nie zostały zniszczone. Wiosną RPRD powinno rozpocząć prace. A kilku członków ZSMP wraz z innymi mieszkańcami wsi pracowało na rzecz tego przedsięwzięcia przy kopaniu rowów.

Czasami w pomieszczeniu obok Klubu ćwiczą członkowie zespołu muzycznego, istniejącego od pół roku. Przyjeżdżają z okolicznych wsi, aby tu wspólnie pograć. Kiedy już okrzepną, być może zarząd GS zafunduje im instrumenty.

Anna Sawa

ŻYCIE WOKÓŁ KLUBU

nie dopłaciła do niego około 160 tys. złotych. Całoroczny obrót w bufecie wyniósł 400 tys. złotych. Jednakże nie w kategoriach finansowych oceniana jest działalność klubu. Liczy się praca na rzecz środowiska. I za nią klub został wyróżniony w roku 1983 w konkursie „O klubowy laur”.

W klubie prowadzone są kursy rolnicze, pogadanki lekarzy, konkursy rysunkowe dla najmłodszych, spotkania i zabawy z okazji świąt i rocznic, zebrania organizacji wiejskich. Przychodzą wszyscy mieszkańcy wsi — dzieci i dorodli, i każdy może wybrać coś dla siebie. Codziennie bywają tu członkowie koła ZSMP. Wspólnie z gospodarzem klubu i innymi członkami Społecznej Rady Klubu — sołtysiem, nauczycielem z miejscowej szkoły i sekretarzem POP stanowią o kierunku jego działalności. Na co dzień zarządza nim Eugenia Szura, gospodarz klubu.

— Miałam zamiar pracować tu tylko przez rok — mówi — a jestem już 14 lat. I nie jest to takie ważne, że urlopu jeszcze nie wykorzystalam, że niedługo muszę przemieścić się, aby przygotować salę, zrobić jakieś kanapki, aby przygotować salę, zrobić jakieś kanapki, aby wyszły nie o przepiślowej 22, a później, bo przedłuża się ciekawy program w telewizji, wieczornica lub dyskoteka. Najważniejsze, że młodzież przychodzi chętnie, że wszyscy jesteśmy zyci z sobą. Pomagają mi w przygotowaniu, sprzątaniu, przynoszą węgiel do piecyka, bo klub nie ma innego ogrzewania. Szkoda, że wielu młodych aktywnie uczestniczy w naszej działalności jedynie do czasu założenia rodziny, a później tylko od przypadku zagląda.

Z klubu i z trzech sąsiednich pomieszczeń Domu Ludowego, a zwłaszcza z dużej sali, w której odbywają się zabawy, korzystają wszyscy mieszkańcy wsi. Ale chyba tylko dla 37 członków ZSMP stanowią o przyszłości oczko w głowie. W miarę swych skromnych finansowych możliwości starają się klub odpowiednio wy-

— „Dużo można zrobić, jeśli się chce, trzeba tylko być upartym i mieć trochę szczęścia — twierdzi Bogdan Szymkiewicz, przewodniczący koła ZSMP. Działalność klubu wygłada nieskomplikowaną. Na początku roku ustalamy plan działania. Później, na kilka tygodni przed planowaną imprezą zbieramy się, dyskutujemy, potem damy ogłoszenie, wysyłamy zaproszenia... Zresztą, trudniej o tym mówić, łatwiej robić. Poza tym, nie jesteśmy sami. Jest z nami pani Szurawa, sołtys, koło gospodyń wiejskich, samorząd wiejski, przez GS z Tyczyny, dyrektor szkoły podstawowej i inni. Zawsze też możemy liczyć na Zarząd Wojewódzki ZSMP”.

Organizacja młodzieżowa ma maleńkie pomieszczenie dla siebie, tuż przy klubie. A w nim skład instrumentów muzycznych zespołu Kiedys chcą w nim zrobić kominek, połowę wykładzinę i naprawdę mieć go dla siebie. Kiedys, bo teraz mają ważniejsze sprawy. W lipcu zeszłego roku założyli LZS. No i potrzebują boiska, sprzętu, ubrań, butów, Pomaga im ZSMP (do niego należą wszyscy), RW LZS, GS z Tyczyny. Dostali trochę pieniędzy na koszulki, buty. Przez GS dał zezwolenie na kupno półtorakmów w sklepie, bo młodzież pracująca takich uprawnień nie posiada. Najważniejszy jednak jest stadion. Dyrektor szkoły podstawowej w Borku zgodził się na wykorzystanie do tego celu placu przy szkole, i już teren mają wyrównany, pozostaje zrobić rowy, założyć drenaż, zasiać trawę, a dyrektor obiecał kupić bramki. Problemów trochę mają, ale pracy się nie boją, no i boisko chcą mieć. Planują, że w lipcu będzie gotowe.

Powie ktoś, co ma boisko sportowe do Klubu Rolnika? Ano ma. To w klubie zbiera się młodzież, rodzą się wszystkie pomysły, to w nim dyskutują i bawią się, odpoczywają na pracy i nauce. Snują plany na przyszłość.

Krzysztof Lipiński
przemysł
kościół wstępują do nieba z gliny wzgórz obrócone w modlitwę w martwych dzwonach gromadzi się gniewny wiatr wysoko nad wieżami wrok ucieka w dolinę gdzie rzeka przeznaczeń przesypuje srebrne zagubienie
miasto garść czasu gniazdo przelotnych dni kamienie wiedzą więcej niż potrzeba by nie móc zapomnieć w stromych zaułkach błąkają się cienie i echa
zaczyn zmierzchu wieczoru pajęczyna wypędza spod okapów siwy dym pod koronami baszt wiosna budzi zmarznięte pocałunki a w garbatych sieniach wciąż jeszcze pachnie zimowy sen

SPOŁECZNY PUNKT WIDZENIA

(CIĄG DALSZY ZE STR. 1)

torzy. Sprawa nie opuściła jeszcze sądów, mimo że moca ostatecznego wyroku, własność nieruchomości została przyznana zgodnie z wolą prawnego spadkobiercy.

Najbardziej zdumiewa fakt, iż na zdobyciu tego obiektu i przeznaczaniu go na tak potrzebny cel, zależy wyłącznie społecznikom. Takie wrażenie odnieść można wnikać w szczegółów sprawy. Poparcie ze strony Urzędu Miasta i Gminy jest właściwie żadne. Nawet wśród działaczy z rady PRON raczej są podzielone. Komisja społeczno-bytowa i ochron środowiska np. umieszcza w planie działania wniosek: remont domu „Atlasówka”. PKPS dysponuje tuł pewną kwotą na początek. Komisja do spraw oświaty, kultury i zdrowia natomiast zaproponowała wstrząsanie o budowę domu swołonej starości. Wniosek efektywny, tyle że póki co, można go napisać patykami na wodzie.

Sorawa ma swój początek w 1973 roku. W sierpniu tegoż roku zmarła właścicielka domu — Aleksandra Atlas, 3 miesiące później zeszła z tego świata jej córka, zmarła w domu opieki w Słocinie, gdzie umiesziała w Pzysk. Obydwały były podopiecznymi PKPS, żyły wspomniane zasłankami, jakkolwiek dom miały wcale zasobny. Aleksandra Atlasowa była wdową od adwokata. Na 2 dni przed jej spowiedziową śmiercią, która nastąpiła w szpitalu, P. Pzysk zarządził komisijną inwentaryzację całego dobytku. Dokładnie wyszczególniono w sumie 114 pozycji (z tym że np. biblioteka została w nim utulona jako 2 zadusz wypełniona książkami) przechołwa u. Tadeusz razem z grupą blikiem innych dokumentów dotyczących sprawy, a zarządzonej z podziękowaniem gołna starannością. Losy tych rzeczy nie są mu znane. Szczegre

mówiąc obawia się o nie. Sprzęty, zgodnie z rozporządzeniem (jednej) spadkobierczyni majątku, drugiej córki A. Atlasowej — Janiny zamieszkałej w Anglii, miały przapaść sąsiadce zmarłej, która za jej życia pomagała w urządzaniu ogrodu. P. Pzysk natomiast czy interesowałby ją księgozbiór, obrazy...

* * *

Córka Janina zrzekła się majątku, przekazała prawo do własności i użytkowania domu — oboje społecznie; ziemi — skarbowi państwa. Sprawa nie przysporzyłaby pewnie kłopotów, gdyby dom nie był zamieszkały. Tymczasem jeszcze za życia A. Atlasowa przyjęła lokatorów — małżeństwo. Zaimowali oni 2 spośród 6 pomieszczeń „Atlasówki” i postanowili nie tylko nie wynajmować się, ale zdobyć dom na własność. Poniekąd czuli się już jego posiadaczami. Był z pewnością powód, dla którego UMIG wysłał 2 IV 1975 r. do lokatora pismo o treści: „UMIG w Bieciu zabrania obywatelowi dokonywania jakichkolwiek samowolnych zmian w budynku Aleksandra Atlas, jak też w obecności, do chwili uregulowania sprawy własnościowej. Koszty związane z przebudową w/w nie będą zwracane”.

Zaczyna się sądowo-urzędowa kołomyjka, historia niestety bardziej żałowana niż zabawna. Postanowieniem Sądu Rejonowego w Jaśle z 14 XII 1976 r. majątek przereził na skarb państwa. Urząd Miasta i Gminy nie śpieszył się jednak z tego przejęciem, natomiast w rok później, 6 XII 1977, przyznał prawo własności lokatorce. Znaleźli się świadkowie, którzy zeznali, że wynajmujący mieszkanie mieli te dobra rzekomo obiecać. Wyszukano też obrzychny dechyl przepis ustawy z 26 X 1971 r. o uregulowaniu własności gospodarstw rolnych.

Odmienne zdanie na ten temat miała za rok wojewódzka komisja do spraw uwłas-

zeń w Krośnie. Stwierdziła, iż przepisy, na podstawie których uczyniono lokatorów dziedzicami majątku, nie znajdują zastosowania w tym konkretnym przypadku.

Zatrzymowała sprawiedliwość, ale Tadeusz Pzysk musi zadowolony się wyłącznie plynąć z tego satysfakcją. UMIG bowiem nadal zachowywał się obojętnie: nie przejmując ziemi, nie czyni starań, by przekwaterować lokatorów. Oni zaś żądają rewizji decyzji sądowej i, nie zgłaszając się na wyznaczone rozmowy, data jednak do rozważenia, że nie traktują dotychczasowego werdyktu o prawach do majątku za ostateczny.

Tymczasem (jest już 1981 rok) zjeżdża do Biecia wojskowa trurna operacyjna. Jej szef, wspomniany do dziś dobrym słowem za życzliwość dla społecznych spraw i pełny obywatelizm — mir Borowski interesuje się spadkiem i projektem jego wykorzystania, osobście jeździ do reagenta, 30 XI 1981 roku w księgach wieczystych zostaje zmieniony zapis o własności. Skarb państwa „zajmuje” miejsce lokatorów.

Tadeusz Pzysk nie ustaje w staraniach o zrealizowanie zamierzeń. Pragnie odzyskania w „Atlasówce” bodaj trzech pokoi i kuchni, które zajmowały adwokata z córka. Projekt przyszedł do pensjonatu, choćby najmniejszego, musi otrzymać jednak opinie stacji SANEPID. Przychodzi decyzja negatywna, podpisana przez lek. med. Zygmunta Dąbrowskiego. „Budynek — pisze się w uzasadnieniu — nie zapewnia minimum warunków zdrowotnych. Zlokalizowany 10 m od drogi głównej i 3 m od drogi gospodarczej, w zasięgu szkodliwego oddziaływania zakładu produkcji zniczy Spółdzielni „Jasiołka”.

Pozostaliśmy z pełnym szacunkiem dla przepisów SANEPID. Każde prawo należy respektować. Trudno nie uwzględnić jednak społecznych racji. Brzmią owe przepisy nabyły formalnie w kontekście codziennych doświadczeń opiekunów społecznych, Oto

blecki PKPS walczy o dach nad głową, elektrykat i poczucie bezciekłości dla swoich podopiecznych, a zdaniem SANEPID najważniejsza jest czysta atmosfera. Coż to zresztą za problem w Bieciu... Nic, tylko domy opieki należy lokalizować w kuracjach. Dziwne, że SANEPID zezwolił na lokalizację i szkodliwa produkcje „Jasiołki” w bezpośrednim sąsiedztwie domostw. Wynika z tego, że przezwlekaniem miałyby dotyczyć tylko pensjonariuszy domu.

— Gdyby w „Atlasówce” trochę zainwestować, byłoby to obiekt mogący przetrwać niejedną burzę — wzdycha T. Pzysk. W tym samym czasie sprawa sądowej rewizji lokatorów czeka na epilog. Na interwencje rad PRON zostaje przekazana (po kilku miesiącach) do Sądu Wojewódzkiego. Ten 24 VI 1983 roku uznaje rozstrzeżenie lokatorów za bezpodstawne. Prawo do majątku zostaje przyznane zgodnie z wolą tego spadkobierczyni. To jednak jeszcze nie koniec.

PKPS zwraca się do UMIG o spowodowanie przekwaterowania lokatorów „Atlasówki” albo bodaj udostępnienie mieszkania byłej właścicielki. Odpowiedzi są negatywne. Ostatnia brzmiała: budynek zamieszkuje 2 rodziny, jako że córka lokatorów sorowadziła do „Atlasówki” męża. Otrzymał tylko wywołanie użycowania ogrodu: bardzo grzecznie, na pół roku. Uzasadnienie: „Nieruchomość nie posiadała prawnego właściciela” jest z gruntu nieorawdliwe — wytyka P. Pzysk. Wszak od 1976 roku posesją była własnością skarbu państwa.

Dalszych szczegółów dowiadujemy się z urzędowego listu pani Janiny z Anglii, wysłanego 3 XI 1983 roku. Sprawa jest nadal w sądzie. Lokatorzy toczą teraz proces o przywrócenie ważności uwłaszczenia z 1977 roku...

Zajmujemy fragmenty listu:
„Oświadczam, że nie uznaję żądania wniosku złożonego przez lokatorkę o wszczęcie ponownego postępowania w sprawie domniemanego zasiedzenia własności nieruchomości w Bieciu(„.)”.

Stwierdzam, iż istotnie, jak podaje wasze pismo, dziwne rzeczy się działy i nadal dzieją. Nigdy, ani moja s.p. matka, z którą bylam w stałym kontakcie, ani ja nie obcywałam oddać czegośkolwiek z naszego majątku, małżeństwo Byli oni tylko i wyłącznie lokatorami u mojej s.p. matki.

Kategorycznie sprzeciwiam się wnioskowi o wznawienie sprawy. Sprawa jest jasna. Jako jedyna spadkobierczyni, przekazałam cały majątek po śmierci matki: skarbowi państwa — rolę, oboje społecznie — dom.

Jak widać, małżeństwo lokatorów wszelkimi sposobami, łącznie z nieprawdą, stara się moja wolę zmienić, przeciwko czemu protestuję.

Jestem niemile widziona, że prosta sprawa przekazywana wzięciu mojej woli spadku po s.p. mojej matce zmarłej w 1973 roku skarbowi państwa i oboje społecznie, jest jeszcze do dnia dzisiejszego, nie załatwiona”.

* * *

Ze społecznego punktu widzenia sprawa budzi niesmak. Było do tej pory wiele podobności, by ją załatwić. Trudno uwierzyć, by w ciągu kilku ostatnich lat nie zwolnić się w Bieciu ani jedno mieszkanie gdzie można by przekwaterować lokatorów. Po prostu, pozycja laka przysłał Urząd Miasta i Gminy jest wykładna: niech się procesuj, zobaczmy co z tego wyniknie. To prawda że w społeczne racje zaangażowanych jest więcej emocji, ale też tych konkretnie spraw, nie można traktować formalnie, za biurka. Czas niestety działa na ich niekorzyść, o czym zresztą lokatorzy też dobrze wiedzą. Społecznikom gorzko, po pierwsze, że to nie im urzad sprzyja, a po drugie, że kolejna szansa na zorganizowanie domu prawdopodobnie już się nie nadarzy. Na nowy zaś, na razie nie ma co liczyć.
HALINA ŁOKAJOWA

Andrzej Tumialis

KONFLIKT W SZKOŁACH WYŻSZYCH

ADIUNKT MOŻE ODEJŚĆ...

Eadnych kilka lat temu, nie tak śmiało jak to dziś wolno, ale i tak głośno zaczęto mówić o problemach kadr w szkołach wyższych. Mówiono o tym, że u nas profesora...

ustawa nie zrobiła nic poza tym, o co już dawno dopominano się. Ta okoliczność jednak bynajmniej nie przeszkadza, aby odrazu znaleźli się obrońcy tych adiunktów...

wersytecie, nie w politechnice, lecz w każdej innej wyższej szkole zawodowej — bo tak chcemy właśnie uczelnie różnicować. Inny argument, że po cóż mają teraz adiunkci na gwałt podejmować jakies wąskie tematy dla przemysłu, jest argumentem zenującym. Takich prac mamy stopy...

GRUPA POETYCKA „KROSNO”

Był rok 1975 kiedy to świeżo upieczeni maturzyści podjęli naukę w krośnieńskim Państwowym Studium Kulturalno - Oświatowym i Bibliotekoznawstwa. Do Krosna przyjechali z całego niemal kraju. Ucząc się, wydali własnym sumptem dwa almanachy...

Grupa była otwarta, jedni przychodzili, inni zaś odchodzili. Po latach pozostało ich trzech. Dziś działają w klubie osiedlowym „M-3” w Pruszczu Gdańskim. Roman Ciesielski, rocznik 1954, pochodzi z Pruszcza, tam mieszka. Jest działaczem kulturalnym, kieruje pracą klubu „M-3”...

Aleksander Bielenda

Wypadek uliczny

a nie wiesz nawet jak bez trudu otaczają cię i wiążą i nic nie jest warte twojej układanie spraw najważniejszych — drobne ułknięcia serca otwierają ci oczy...

Jacek Jan Tatak

z myśli wypływasz jak oblok zwiątpienia naga i czysta niby prawda wypływasz z myśli czcząc aniołów i diabła...

Roman Ciesielski

i nagle cisza

i nagle — cisza nikt przed nami nie słyszał takiej ciszy nikt obcy nie wypchnął naszych gardel strachem...

Janusz Termer

PAPUZIE SĄDY

CZY PISARZE PRÓŻNOWALI?

W głosach i wypowiedziach na temat dokonanej minionego roku w kulturze, czy to prasowych, czy nawet prywatnych, pojawił się niepokój, a co gorsza, bezkrytycznie i bezmyślnie (tak, tak), powtarzany pogląd, że w naszej kulturze nie się ostatnio ciekawego nie działo. Znaczących wydarzeń było niewiele, panuje wręcz stagnacja i zastój...

mieniu”. Jana Drzeżdżona „Karamoro”, Leona Gomolińskiego „Terapia przetrzenna”, Jerzego Andrzejewskiego „Apelacja” i „Nikt”, Władysława Terleckiego „Cień karku, cień obrzydła”, Jerzego Krzysztonia „Kryż południa”. Czy to mało? Mało. Więc proszę bardzo, ukazały się jeszcze w tymże inkryminowanym roku także jeszcze książki: Jana Dobraczyńskiego „Pacierz, co płacze i płorun, co błyska...”, Krzysztofa Kąkolowskiego „Notatka” i „W złą godzinę”, Anny Strońskiej „Głuche rzeki”, Romana Bratnego „Koszenie pawli” i „Rok w trumnie”, Zbigniewa Zakiewicza „Wilcze łaki”, Jana Bolesława Ożoga „Wiśniowa kula”, Jerzego Szczygła „Poczekaj, otworzy się!”, Stanisława Czycza „Nie wiem co ci powieścić...”

NAD KSIĄŻKĄ

UWIKŁANI W HISTORIĘ



W roku 1958 ukazała się opowieść J. B. Ożoga pt. „Kula”, której temem były ruchy chłopskie w okolicach Ropczyc, Rzeszowa, Przeworska. Po latach autor dopisał tej opowieści ciąg dalszy, nadając mu odrebny tytuł: „Wiśniowa elegia”...

spłot przypadków. Wydarzenia polityczne i tragedie osobiste. Obrazy nakładają się na siebie, wywołują sprzeczne uczucia. Autor nie nakreślił eschatologicznej wizji. Oszczędnymi środkami starał się ukazać uwikłanie prostego człowieka w historię, współtworzenie jej przez niego...

ZBIGNIEW KREMPE

(Jan Bolesław Ożóg, „Kula, Wiśniowa elegia”, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1983, nakł. 10 000+330 egz., cena zł 60).

Edward Winiarski

SAMI SWOI

Nazwa ta znana jest nie od dziś miłośnikom tańca w Sokolowie Mtp., Przeworsku, Mielcu, w dziesiątkach wsi rzeszowskich, a także i w miejscowościach położonych daleko poza terytorium województwa rzeszowskiego. Określający się mianem „Samych swoich” zespół muzyczny przewędrował setki kilometrów gósząc na oficjalnych uroczystościach w większych miastach, na gminnych dożynkach: festynach, oraz na niezliczonej ilości wiejskich zabaw, weseli i potańcówek.

nie przybranych stołach, przyrządzonego według staropolskich reguł, przepiękne, dawne melodie i tę wciąż znaną, choć już — niestety — gasnącą szczerą, staropolską gościnność. To nie przemija tak zwykle, tego się też nie zapomina. To w człowieku gdzieś zostaje. Zał jedynie, że coraz mniej jest takich weseli. Boli mnie też osobliście, że jako społeczeństwo coraz bardziej odwracamy się od muzyki ludowej. Szczególnie obserwuje się to na wsi, która — jak by nie było — jest też muzyki jedyną kolebką, u wiejskiej młodzieży zdążającej wciąż w kierunku obcokrajowych rytmów.

kunst mistrzowski. Kapela „Władzieńka” przez dziesięciolecie wiodła prym na naszym terenie, spychając w cień inne, podobne jej grupy. Z czasem i tam wkradły się daleko idące zmiany. Wiek i zdrowie ojca nie pozwalały na dalsze czynne muzykowanie, odeszła matka i brata z domu rozluźniło wewnętrzne kontakty. Działalność kapeli od tam prawie zamarła. Wtedy ja — opierając się na części ludzi ze starej kadry — zdecydowałem się na utworzenie własnego zespołu. Wkrótce też dołączył doń mój starszy syn, Marian, a niedługo później drugi — Sławek. Było to znajome grono ludzi, nazwaliśmy się więc jak można było najprościej: „Sami swoi”. Dla mnie ta przygoda z muzyką trwa już ponad dwadzieścia lat. „Sami swoi” niedługo święcić będą swój ósmy jubileusz.

WIDNOKRAG ODPOWIADA

K. J. — Krzywa k. Sędziszowa: To co napisałeś po oglądnięciu filmu telewizyjnego „Nazajutrz” nie jest wierszem. To są bardzo banalne, wszystkim znane stwierdzenia, tyle że dość brzytwiwnie zrymowane. Nie wierzę kolegom w szkole, gdy Ci mówią, że to świetne. Ten utworek jest bardzo zły i sadze, że nie warto na razie być zaprzatą głowę próbami wierszowania.

stosów spiętrzonych określeń, może udało by się stworzyć coś interesującego. Piśze Pani np. „Jutro — atom — niecoś, proch ziemi, laboratorium szkieletów”... albo „Z przeszedł dymnej, deszczu bomb, zastrzyków kolczastych kominów czerwonych, szkieletów bezwstydnych, oczodolów”... itd. Typowe to przykłady nie kontrolowanego słowotoku, w którym roznyma się każda myśl i każdy obraz. Rysunki, które otrzymaliśmy razem z tekstami nie przedstawiają większej wartości. Niektóre z nich mają jakiś wyraz, większość grzeszy nieudolnością.



Liczni kuriozacje, przebiegający na lewo i prawo, w kierunku Zdroju, niedługo nowo otwarty Klub Młodzieżowy Przesy i Książki. C.A.F. — fot. A. LOKAJ

